Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 46. POZNAŃ, DNIA 14. LISTOPADA. **1842.**

Geschichte der Philosophie seit Kant

von

Dr. Chr. J. Braniß.

Erster Theil. Einleitung, enthaltend eine Uebersicht der philosophischen Entwickelung in der alten und mittlern Zeit.

Breslau, bei Joseph Max und Comp. 1842.

(Dokończenie z Nro. 39.)

W czwartym rozdziale przedstawia nam Braniss wykończenie się historyi starożytnéj przez zlanie się dwóch strumieni, pogaństwa i judaizmu, długo równobieżnie obok siebie przez wieki się toczących: aż w końcu w oceanie idei chrześciańskiéj, całą ludzkość ogarnąć mającym, w wspólném ujściu pojednanie znalazły. Chrystus więc jest końcem historyi starożytnéj, a początkiém nowéj. W Chrystusie znajduje się równie ideał człowieka, przez filozofią grecką postulowany, jak i bóg w postać ludzką podług przeczucia proroków wcielony; jedném słowem, w Chrystusie konkretnym, abstrakcyjna idea człowieka w rzeczywistości się odbiła. Lecz Chrystus nie był wypadkiem przypadkowym, ani téż polubownym wyskokiem ducha historycznego na widnią historyi, ale był raczéj wynikiem koniecznym tegoż ducha przez lat tysiące nad tém pracującego, aby z siebie wydać prawdziwego człowieka w idei zawartego. Chrystus tkwił już więc od początku w rozwijającym się duchu ludzkości, jako idea popychająca go ku swemu zrzeczywiszczeniu się. Chrystus znajdował się, iż tak rzeknę, już od wieków w zarodzie w ludzkości, i w żywocie długich wieków nim brzemiennych tak długo spoczywał, dopóki stawszy się płodem dojrzałym na jaw nie wystąpił. Dla tego to przeczuwali go, a nawet, śledczém okiem rozumu rozpatrując się w ludzkości Chrystusem ciężarnéj, już go naprzód dostrzegać musieli filozofowie greccy i prorocy izraelscy, których duch wieszczy jedynie ze zbadania przeszłości i swego czasu, i z dopatrzenia organicznego, a zatem koniecznego rozwijania się ducha historycznego, swoje natchnienie i jasnowidztwo czerpał; tak jak z końca wieku 18., a z początku teraźniejszego, nie będąc szczególnie z łaski bożéj natchnionym prorokiem, z pewnością przepowiedzieć można, że prędzéj czy późniéj wolność i równość na zwaliskach despotyzmu zasiędzie, i swe błogie panowanie na miłości bliźniego i na uznaniu godności ludzkiéj w każdym człowieku oparte, choćby téż jeszcze obfitémi strumieniami krwi swych męczenników okupione, niezawodnie rozpocznie.

O ile się powyższe pojmowanie Chrystusa od utartego teologicznego różni, każdy uzna z łatwością. Nie mogę więc pojąć, i tu po raz pierwszy autorowi sprzeciwić się muszę, jak tenże to swoje pojęcie za w ogólności zgodne z pojęciem teologiczném uważać może, a to tém bardziéj, że ciosy teologii przez Straussa, a tém samém i przez Bauera i Feuerbacha zadane, sam za śmiertelne uznaje, a przeto im ich znaczenia postępowego nie zaprzecza. Lecz posłuchajmy jego własnych słów na str. 352.

„Najgłębszém zadaniem teraźniejszości jest wypośrodkowanie mocnych podwalin dla teologii niemieckiéj (?), zwłaszcza od czasu, jak téjże, która się sama już od dawna podkopała, Strauss z czcigodną otwartością i wolnomyślnością jéj własny rezultat tak bezwzględnie wykrył, iż się sama nań z przestrachu wzdrygnęła. Reformatorowie znieśli katolicką tradycyą Pismem świętém, a krytycznie rozwalająca nowoczesna teologia samo nawet Pismo święte za nieudowodnioną tradycyą poczytuje; lecz kiedy się już teraz

ten proces rozsprzęgalny zupełnie ukończył, ustała téż i chęć negacyi, jéj interes upadł, a wymoga czegoś trwałego, pozytywnego nastała; wymoga taka jednakże, która się restauracyą, do bourbońskiéj podobną, zbyć nie da.“ Z tém wszystkiém ma autor (Braniss) to mocne przekonanie, że, jakkolwiek wszelkie symbola wiary wraz z swą ostatnią już spróchniałą podporą, którą jeszcze w *Quatenus* miały, w teologicznéj umiejętności swe znaczenie utraciły, przecież taka symboliczna książka chrześciańskiéj wiary pozostała, która się natarciom negującéj krytyki zapewne zawsze oprzeć zdoła. Tą książką symboliczną jest historya sama. Im więcéj się w badaniu historycznėm, tak jak to już w badaniu przyrodzenia uskuteczniono: z prostéj tylko partykularnéj empirii uniwersalna świadomością idei przesiąkła umiejętność historyi wydobywać będzie; tém więcéj będzie Chrystus za wieczną, boską treść wszelkiego historycznego życia w świecie uznawanym.

Ze słów tych wyraźnie się okazuje, iż i Braniss nie uznaje już Pisma świętego za podstawę teologii, żądając oparcia téjże na historyi powszechnéj, z któréj to filozoficznego zbadania téż tylko jego rozsądny Chrystus wypłynąć mógł, a który do Chrystusa teologicznego tak podobny, jak myśl jasna filozoficzna do myśli ciemnéj i mistycznéj.

Nie zastanawiając się dłużéj nad rozdziałem piątym, w którym autor prawdozgodnie rozwój idei chrześciańskiéj skreśla, a o rozdziale ostatnim, obejmującym rys filozofii scholastycznéj, to tylko nadmieniając, iż Braniss słusznie jéj źródło w idei chrześciańskiéj wskazuje, a tém samém błędne i niedorzeczne mniemanie, jakoby była wypływem filozofii Arystotelowéj, zbija: kończymy rozbiór pierwszego jenialnie poczętego i troskliwie opracowanego tomu, z tém życzeniem, aby nas autor w niecierpliwém oczekiwaniu drugiego tomu długo nie wytrzymywał.

Piotr Dahlmann.

Poezya.

ANIOŁ NISZCZYCIEL.

Moje tchnienie nie woń,
Nie gwiazdy mi skroń
Jaśniejącém obwiodły kołem.
Mój oddech siarczysty,
Mój wieniec ognisty.
A przecież jam jest aniołem!

Nie anioł, co leci,
W pieluchach mdłe dzieci
Rajskiemi snami koleba;
Sieje miłość, zgodę,
Wiąże serca młode,
I dusze unosi do nieba.

Jam anioł niszczyciel!
Jam anioł czyściciel!
Jam złego mściciel i wróg!
Mnie, gdy czas nadchodzi,
Nim świat się odrodzi,
Na ziemię śle Bóg.

Miecz niosę w prawicy,
Pochodnię w lewicy,
W gromach oblatam świat.
Na imię mi *biada*!
Śmierć, zgroza, zagłada,
Biegą mi ślad!

Ja tchnę w piersi ludzi,
W piersiach żar się zbudzi,
A ręce im całe krwią ściekną;
I będą się darli,
I będą się żarli,
Jak wilcy, gdy z głodu się wściekną.

Ja kędy przelecę,
Skier rzęsny deszcz miecę,
Skry to niczem nie zgaszone!
Aż wszystko wypalą,
I to tylko ocalą,
Co takie niebieskie jak one.

Pychy dzieci wszeteczne,
W głupstwie swojém bezpieczne,
Oto nadszedł wasz czas!
Wasze własne na głowę
Zamki wam marmurowe
Runą i pogrzebią was!

I władczyni wnet nowa,
Okropności królowa,
Gruz ze stolic waszych zasiędzie.
Z pośród ciszy, grobowa
Szydersko z ruin sowa
Z potęgi się waszéj śmiać będzie.

Hej ludzie! ja lecę,
Ogień wszędy miecę:
By świat plon wydał nowy!
By wyczyścić pole,
By zniszczyć kąkole,
Niech zginie kłos stary, niezdrowy.

Nie klnijcie, nie drzyjcie,
Głów waszych nie rwijcie,
Że spłoną wam zbiory i włości;
Za krótki strach, głód,
Wy i cały wasz ród
Lichwę odbierzecie w przyszłości.

Hej burze, wy gromy!
Grady, wichrze łakomy!
Dajéj, za mną w ślad!
Zléj ognie i wody!
Mory, wojny, niezgody,
Za mną, na świat!

Jam anioł niszczyciel!
Jam anioł czyściciel!
Anioł zbawiciel!...

Roman Zmorski.

Zakonnica.

(Powieść w czterech obrazach.)

I.

W zmroku wieczornym szarzał na tle poczerniałych drzew, gmach starego klasztoru; nie widać było świateł z małych, opatrzonych w kraty okienek, tylko szyby w wąskich, gotyckich półłukach, przyległego klasztorowi kościoła, lśniły się grobowo promieniem tlejącéj wewnątrz lampy. Blade jéj lice, w srebrnym kagańcu spuszczone, migotnym kołkiem wybiega przez mgłę cieniów; mrugnie po niemych grobowcach świątyni, błyśnie po złoconych kolumnach ołtarzy, to śliźnie po kwadratach białéj i czarnéj w przemian posadzki. W środku kościoła, na podniesionych stopniach katafalu, stała trumna, a w niéj leżały zwłoki zmarłéj rano zakonnicy. A gdy lampa zbłąka swój promień i na trupią twarz rzuci, to rysy umarłéj, woskowe oblicze i czarny strój zakonny, jakimś piekielnym błyśnie ogniem, a lodem strachu mrożą pierś klęczącéj na kamieniu siostry Marty, która teraz z kolei czuwa i modli się przy ciele umarłéj. Oczy jéj niemo utkwione, twarz skryta w zasłony, konwulsyjném wytężeniem klęczy bez ruchu, rzekłbyś: kamienna osoba nadgrobku. Ani młodość, ani okazywany wstręt samotnego czuwania w kościele, w nocy, nie zdołały jéj od powinności, regułami siostr Karmelitanek wskazanéj, uwolnić. Panna matka kazała... wchodząc do klasztoru, biedna Marta zrzekła się swéj woli, musi być posłuszną, choćby jéj umrzeć przyszło. Milczenie panowało do koła, a jeśli czasem echo poda i rozwtorzy dalekie kroki przesuwających się w milczeniu siostr, po długich, zimnych korytarzach, to znów po krótce milknie i w dawną cichość zapada; leniwo płyną godziny nocy, chrapliwy i przytłumiony rozdźwięk ściennego zegaru, odbija je powoli, po ciemnych, pełnych tajemnicy i mar, ścianach i sklepieniu świątyni.

Marta chciała się modlić —.. nie mogła żadnéj znaleść modlitwy w myślach i pamięci; strach ją ogarnął, w głowie wszystko się mieszało, czuła ogień w żyłach, a pot zimny oblewał jéj skronie, drżała jak zwiędły liść; na raz zdało jéj się, że umarła siostra otworzyła oczy, że na nią spogląda, wyrzucając jéj opieszałość w odmawianiu nakazanych pacierzy; strasznie jéj się zrobiło... zemdlała... wtém widzi, jak trup wstaje... idzie ku niéj, ale nie ma mocy uciekać; z jękiem dolatują do niéj słowa umarłéj... słyszy je... „Siostro! patrz, jak długo cierpiałam; późna dopiero starość uwolniła mię z więzów... ziemi... teraz, gdym szła po zasługę do Pana, za życie postów... umartwień, Pan mię się zaparł... odtrącił mię...“ Zgrzyt zębów i ołów łez stoczył się w pierś Marty; trup wołał: „Szatan szydził ze mnie... Marto! Marto! jeszcze czas, jesteś młoda, uciekaj z tych murów na świat... tam... tak pięknie... pamiętam byłam dzieckiem... nasz domek... och... ale gdzież ten wiek, ta młodość, którą odrzuciłam.. szalona, zamykając się, lecz nie! mnie zamkniono... słuchaj... moje życie było kłamstwem; tam... w niebie nie takich ofiar wymagają, tam zasługą życie dobre i cierpienia życia, tam każde odniesione zwycięztwo nad sobą.. przebaczenie urazy.. znajdują wieniec niebieskiéj chwały. Ale nasze życie zamknione, bez zasługi; nam nie dano upaść i nie upaść.. któż mnie płacze na ziemi? komuż podałam rękę w potrzebie.. spragnionemu?.. głodnemu! ha! ja ich chlebem żyłam. — Bóg nas stworzył, Bóg stworzył kobietę, aby kochała; powierzył jéj szczęście drugich, my tylko o własném myślimy!.. bluźnierstwem, kłamstwem nasze życie!...“

Suną się dwa szeregi czarnych duchów, kościół zajaśniał gromnicami, a one idą zwolna; to szepcą, to smutną pieśń żałoby ciągną; to siostry Karmelitanki idą zmienić koléj czuwającéj, odśpiewać pieśń zaduszną. Obstąpiły kołem biedną Martę, krew skaleczonéj o kamienie głowy, tłumią chustą, cucą omdlałą i zostawiwszy straż nową, niosą do celi obumarłą Martę.

II.

„O Boże! pociesz mię biedną, wróć zdrowie memu dziecku!“ kończąc modlitwę, wołała młoda, piękna kobieta, klęcząca w ubogiéj chatce, schylona nad kołyską, w któréj małe dziecię z zapaloném liczkiem gorączką, kwilące się, tuliła. Długo w noc czuwała matka między obawą a nadzieją, w miarę, jak się dziecina zdawała uciszać, lub cierpieć; w końcu podawszy białą pierś dziecinie, z wysilenia zasnęła. Śnił jéj się Jaś... ot tam goni motylka; z kwiateczka na kwiatek.. motylek leci; kwiateczków dokoła pełno. Śni jéj się, że Jaś niesie różą. Mamo! oto masz, Bozia ci przysyła; powiedz, z kąd ona? „Bóg ją i ciebie stworzył, na wiosnę dał ziemi różą, mnie w młodości mojéj dał ciebie, Jasiu, jako swoje błogosławieństwo;“ tam w dali białe włoski wiatr rozwiewa: „pójdź do mnie, moje dziecie, poprawię, rozgarnę na czole, daj buzi, tak.“ Całując dziecię, zbudziła się kobieta, usłyszała dzwonienie, klękła i dziękowała Bogu, że Jaś zdrowszy, spokojnie spał przy jéj boku. Kobieta — matka, Anioł.———

III.

Słychać żałobne śpiewy, kościół panien Karmelitanek na Wesołéj w Krakowie, czarnym kirem obity; grobowe dymią kadzidła; w środku świątyni katafal; goreją dokoła świece, „to nabożeństwo za duszę siostry Matyldy, która wczoraj umarła.“ Nagle jęk słychać, wśród stojących na chórze zakonnic, jedna z siostr zasłabła... oko jéj pała okropnym ogniem, krzyczy, tarzając się po ziemi, w konwulsyjnych łamaniach; „ha słuchajcie! słuchajcie! oto widziałam.. widzę.. co to za pogrzeb, siostra Matylda.. a. a. szła do mnie... precz, precz, trupia dłoń, na mém sercu.. oh moje serce!“ wołała szalona Marta; „oh wydarła mi serce, aby go wziąść do grobu, dla.. dla robaków, moje czyste, młode serce; o puśćcie mię, odbiorę, wydrę tam w trumnie moje serce; co ta krew... na méj zasłonie... o niech spadnie na wasze głowy, wyście mię obłąkały.. zwiedły, wydarły światu, moje serce; oh puśćcie mię!“ Tłumiąc jęki i krzyk szalonéj Marty, wyniesiono ją gwałtem do klasztoru.

IV.

U drzwi kościoła stoi kobieta, trzyma na rękach otulone pieluszką dziecie, ciśnie go do łona; to piękna matka małego Jasia do chrztu przyniosła; ksiądz wyszedł, oblał skronie dzieciny wodą świętą, krzyż na czole przeżegnał. Jaś śmieje się i kwili do matki. Wtém szaleństwa siła uwolniła Martę z rąk zakonnic; obłąkana uciekając z kościoła na smętarz, spotkała stojącą we drzwiach... swoją rodzoną siostrę, która małego Jasia piastuje. Spotkały się ich oczy; Marta porwawszy dziecię z rąk siostry, tuli go do łona i śpiewa szalona:

Odbiorę trupowi serce,
Me serce będzie kochało.
Precz, precz bluźnierce,
Ono już wiele cierpiało,
Robak go grobu nie skalał,
Zamknę świat w klasztor — oszalał.

....łzy przerwały piosnkę... tyś kobietą, tyś szczęśliwa, tyś matką, ja nigdy nią nie będę. „Siostro!“ wołała, rzucając się w jéj objęcie; „Eufemio! ratuj mię biedną, nieszczęśliwą. Siostro! nie poznajesz mię? jam ci się wyparła, pogardziłam tobą, nędzą; o Bóg mię ciężko ukarał; tyś kobietą... me serce spało.. dokądem w mury.. tu do tego grobu nie weszła; o patrz! katafal; tamten trup chciał me serce pochować, o serce! nie, nie. Zaś upadła nieszczęśliwa, potoki krwi zalały usta i głos szalony.

Pogrzeb Matyldy ciągnął się daléj spokojnie, kaznodzieja prawił wiele o szczęściu życia zakonnego....

W kilkanaście lat potém burząc korytarze w klasztorze panien Karmelitanek, znaleziono szkielet stojącéj osoby w wydrążeniu kolumny; szaty zdarte, szmatami na dół w żebrach się plątały; na szyi wisiały paciorki mocno zawiązane, przy nich był medalik kokosowy i napis na odwrotnéj stronie nie wyraźnie, może szpilką zrobiony: „Marta.“ Młody Jan.. uczeń budownictwa, całował go ze łzami, i poniósł, jako relikwią, matce, która mu nieraz powiadała, jak ciotka, będąc zakonnicą, bogobojne życie spokojnie zakończyła w klasztorze.

R.......

Opisanie północnego wschodu Europy.

(*Dokończenie.*)

Na południowych obszarach Dniepru przerznęły łoże Dnieprowe liczne progi, nazwiska znaczniejszych dałyby się wywieść historycznie i objaśnić, co jednakowoż nie należy do ogólnego zarysu tego wywodu. Progi te nazywa lud ruski *Porohami*; poniżéj nich leży

w łożu Dnieprowem 70 ostrorowów; progi Dnieprowe leżą od historycznéj Rusi, bo od Kijowa, na południu, a ostrorowy te za porohami leżące nazwał lud Zaporożem. Podobne progi jak na Dnieprze znajdują się także na Bohu i Dniestrze; od nich spada klinem aż ku Czarnemu morzu kraj nisko do poziomu i jest od Rusi niskim krajem, czyli *Niżem* nazwany. Brzeg w końcu Podola, który się wzdłuż lewego brzegu Dniestru ciągnie, nazwał lud krainą pobrzeżną, czyli po rusku *Pobereżem*, i bardzo maluje to rzecz, bo *zadniestrzańska* strona odwróciła się już od Podola, i obszar Prutu odwrócił się twarzą od Rusi, wykręciwszy się z Pokucia na wschód. Tak tedy odgraniczają na południu ten obszar równy podgórzu aż po kąt czyli po Pokucie, daléj ciągnie się granica brzegiem Podola, czyli Pobereże, a dzierzawy Rusi kończą się na wschodzie ziemią niską czyli Niżem i okrajną ziemią czyli Ukrainą.

Jak na północy tego obszaru stanowi dorzecze Prypeci przyrodzoną granicę, tak też posuwając się daléj ku zachodowi w tym kierunku, ciągną się naprzód pagórki lubelskie aż ku Wiśle, a daléj stanowi pewien rodzaj granicy od ujścia Sanu aż do ujścia Przemszy na Szląsku lewy brzeg Wisły, *Zawiślem* zwany. Tutaj wznosi się naprzód w sandomierskiém nie wielkie pasmo gór, które dla gołoborzów, znajdujących się na jéj szczycie, Łysemi górami czyli *Lysogórami* jest zwane. Od nich posuwając się daléj ku zachodowi wyniosłością lewego brzegu Wisły, niknie wybitność kształtów ziemi, z tąd też nie ma i charakterystycznych nazwisk, dopiero w krakowskiém nazywają pewien obszar, gdzie się prosa nadzwyczaj darzą, *proszowską ziemią*, oznaczając jéj urodzaj rodzajem zboża, podobnie jak w Tatrach oznaczono paszę nazwiskiem Hall, a na Wołyniu rodzaj paszy od rodzaju bydła. Daléj na wschodzie w krakowskiém aż do ujścia Przemszy, noszą góry tylko miejscowe nazwy; od nich na północ i od źródeł Bugu spada wielka nizina Polski dorzeczem Warty i Wisły aż do ujścia Noteci, Brdy i Narwy. Miazgę tych obszarów zamieszkał lud polski. Powierzchnia ziemi jest tu jednostajną, lasy i piaski mieniają się z sobą; wybitność kształtów niknie i nazwy charakterystyczne ziemi giną tutaj. Na zachodzie odgranicza ten obszar Odra i lewy jéj brzeg nazywa lud na Szląsku i Wielkopolsce *brzegiem niemieckim*, a prawy *polskim*. Gdzie wybitność kształtów ziemi niknie, tam stara się człowiek zastąpić ten brak ruchu dzielnością swoją; tak powstały na gołym stepie mogiły, tak występuje w równinach Polski historya. Od równych pól nazwano może naród, ale jak zazwyczaj naród sam siebie inaczéj nazywa, a inaczéj jest nazwany od drugich; tak też zachowały się tutaj we wnętrzu Polski pierwotne, plemienne nazwiska i przekazały je ziemi. Jedna tylko różnica na obszarach ludu polskiego jest stanowczą, różnica, która nawet w polityczny podział późniéj przeszła, to jest nazwa Wielkiéj i Małéj Polski, bo jeżeli obszar ogromny nizin, pomiędzy Bugiem, średnią Wisłą, po nad Wartą, po Noteć i średnią Odrę od obszernych pól nazwano Wielkopolską, słusznie bardzo dano późniéj mniejszym, równym obszarom, położonym pomiędzy górami i na obszarze górnéj Wisły, nazwę Małéjpolski. Najdawniejsze tradycye narodu dały jednak gnieźnieńskim okolicom to nazwisko. Żyzna okolica nadgopłańska została naprzód wytrzebiona i wyszła naprzód na jaw, z tąd też nazwano ją *Kujawami*. Pomiędzy górną Wartą a Bzurą, która do Wisły wpada, legły wielkie błonia, łęgi żyznemi trawami porosłe, ztąd też nazwał lud tę okolicę *Lęczyckiem*. Część nakielskiego leży u stóp tych wyniosłości, które Wisła poniżéj Fordunia przerywa. Dla Kujawian był ten kąt po Wisłę i ujścia Brdy krajną ziemią, ztąd też nazwali go *Krainą*.

Od nizin wielkopolskich, ujścia Brdy i Warty począwszy, idąc na północ za biegiem Odry i Wisły, oskrzydliły obie te rzeki wielki szmat kraju aż po morze i lud go nazwał *Pomorzem*. Na dolnéj Wiśle poniżéj Gniewa rozdziela się Wisła na dwoje, a na obięciu tych ramion i po obu brzegach téj rzeki, złożyła woda żuł leśny w ławach; lud nazwał je żuławami.

Już wprzódy mówiliśmy, że dorzecze Prypeci stanowi przyrodzoną granicę lasów, rzek i bagnisk; małe leśne szczepy, których narodowość z narodowością Rusi spłynęła, podobnie jak się Prypeć do Dniepru odlała, zamieszkują ten obszar, który że jest krainą wklęsłą, czyli zapadłą i lasem porosłą, bywa także *zapadłem Polesiem* zwaną. Podobnie jak na zachodnim obszarze wielkich polskich nizin, niknie tutaj wybitność kształtów przyrodzenia, ztąd też nie uderza nic ludu silnie i nazwy miejscowe ustają. Pojedyncze tylko okolice przybierają według miejscowości na małéj przestrzeni powiatowe nazwy, zarzecza, zabrodzia, międzyrzecza, przedborza, i t. d.

Po prawym brzegu Bugu, na dorzeczu Narwi, leżą wielkie puszcze i lasy od Polski ku północnemu wschodowi; jestto przyrodzona granica pomiędzy Polską a Litwą; z téj strony lasów leżące obszary, nazwał lud Polski Podlasiem, a z tamtéj strony puszcz, na północnym wschodzie, po prawym brzegu średniego Nie-

mna leżącą Litwę nazwał krajem za puszczą leżącym, czyli *zaproszczańskim.*

Od lewego brzegu średniego Niemna, ku prawemu brzegowi dolnéj Wisły, posuwając się na zachód, oblały kraj liczne jeziora, z których się wody, jedne ku południowi Narwy i Wisły odlały, a drugie wprost ku północy na Baltyk. Tę północną pochyłość, za jeziorami leżącą, nazwał lud *Zajezierzem*, a całą przestrzeń jeziorami zalaną wzdłuż baltyckich wyżyn na Litwie w Prusiech, na Pomorzu, nazwał lud krajem po jezierze, czyli Pojezierzem.

Nazwa Litwy jest narodową, podobnie tedy, jakeśmy ze środka Polski, Rusi i Litwy wychodzili, tak potrzeba i tutaj od środka zapatrywać się na okrajne ziemię i kraj po lewym brzegu średniego Niemna leżący, na przestrzeni od Grodna do Kowna, nazywają stroną zaniemeńską, *Zaniemnem*, a nisko położony obszar na dolnym Niemnie nazywają *Żmudzią*, Żamajtis, co oznacza ziemię niską, to samo, co w niemieckim Niderlandy, w francuzkim Pays-bas.

Tak tedy w ogólności nazwał lud pojedyńcze okolice tego obszaru podług dokładnych pojęć powierzchni jego. Jeżeli prawdą jest, co o narodzie zwykle powiadają, że o tyle zna historyą, o ile ją znać powinien, o ile mu ją znać potrzeba, to jest z wszelkich jéj rezultatów, możnaby już z tych nazw geograficzną znajomość narodu pojąć dokładnie.

Do charakteru tak nazwanych i odznaczonych okolic należy to, że się nie odgraniczają ściśle jak granice polityczne, lub przynajmniéj nie wszędzie, bo jak sama natura w tysiącznych odcieniach z jednych kształtów w drugie przechodzi, tak też i okolice przybierają nie dorazu ten wyraz i tę nazwę, która oznacza ich właściwość, ale tylko tam, gdzie przejście bywa wyjątkowo nagłe, lub gdzie kraj już stanowczy charakter przybiera, ztąd też nie trzeba szukać w podobnych oznaczeniach dokładności granic politycznych. Tam tylko, gdzie łożyska wielkich rzek obszar ten po krańcach, lub po środku oblały, występuje miejscami wybitnie i charakter kraju, a tém samém i okoliczne jego nazwisko, bo też wielkie dorzecza nadają na północnym, równym wschodzie Europy ruch ziemi i stanowczą wybitność. Nazwy te są prawdziwie narodowe, bo wynikły z pojęć ludu, który na tym obszarze wzrósł i z dokładnego poznania kraju na nich powinna się oprzeć umiejętność jeografii u nas. Jeżeli się tak często na opisy cudzoziemców żalić przychodzi, wypływało to jedynie z tąd, iż nagą teoryę nawykli oni przymierzać do kraju, i zaprzeczając wszelką miejscowość przez lud pojętą, chrzcą oni całe okolice według swego widzimisię, lub podług granic politycznych, które z przyrodzeniem kraju nic wspólnego nie mają. Tam tylko jest chód nauki pewny, i nie przejdzie nigdy ani w czczą abstrakcyą, ani w teoryą nie znajdującą odgłosu w wyobrażeniach ludu, kędy się wspiera na miejscowości. Naukowość wprawdzie ma swoje własne widoki i potrzebuje ściślejszych odznaczeń od ogólnych nazw ludu, lecz jeżeli chce sobie zasłużyć na nazwę postępu, niechże nim będzie rzeczywiście i niech stąpa po wyobrażeniach narodu, tak potrzeba nam będzie wiele miejsc oznaczyć stanowczych na tym obszarze, zawsze jednak będziemy się starali nie burzyć tego, co jest, ale budować daléj na tych wyobrażeniach; głównie zaś nieodstąpimy od oznaczeń ludu, i będziemy się trzymać nazw jego, bo smutną byłoby to rzeczą, żeby kraj pod ręką umiejętności stał się krainą obcą dla ludu, i żeby w końcu rozpoznać go nie można i zrozumieć niby dla poznania i rozumu.

Wszystko przyjdzie nam odnieść do czterech okolic świata, południa, północy, wschodu i zachodu, i ci, którzy u nas około jeografii dotąd pracowali, wzięli tę rzecz z wierzchu; nawet Jan Śniadecki mówi tylko o róży wiatrów, chcąc oznaczyć różne jego kierunki i nie podał nawet, jakby głównych 16 promieni téj róży nazwać należało. Wiatry, jak wiadomo, wieją zawsze w prostym kierunku, jeżeli nie są młyńcami; nie pojmuję tedy, jak krzyżujące się wiatry można było nazwać różą; podobnie nie pojmuję, jakto przetłumaczyć na język polski süd-süd-ost albo west-west-nord, nie łamiąc języka i wyobrażeń, jakie do niego przywięzują; po prostu jest to tylko tłumaczenie i nazwa podobna do tych wszystkich, którą cudzoziemcy chrzcą wszystko, a które żywcem bierzmy, mówiąc o tych rzeczach u nas. Lud nazywa zupełnie inaczéj okolice świata i według jego wyobrażeń układamy tutaj nie różę, ale krzyżownicę wiatrów.

Podług nazw tedy w duchu ludu nazwanych okolic i téj krzyżownicy wiatrów, oznaczając nią strony świata, okażą nam się wszystkie góry, rzeki i widoki krajów w następującym opisie.

(Następuje: Tatrów kraina alpejska, którą autór szczegółowo opisuje.)

Korrespondencya.

Berlin, dnia 13. *Listopada.*

Przyjechawszy do Berlina, korzystam z kilku ostatnich dni, w których tutejsza wystawa sztuk pięknych otwartą jeszcze będzie, ażeby przynajmniéj płody niemieckiego pendzla, a raczéj pendzlów, obejrzeć i krótkiéj o nich wiadomości udzielić miłośnikom malarstwa w Polsce. Wiadomość ta, uprzedzam, krótka tylko będzie i niedokładna, bo nie równie wprawniejszego oka potrzeba, ażeby w tym lesie obrazów wyśledzić od pierwszego rzutu najpiękniejsze, a pomiędzy tysiącem mierności umieć sprawiedliwie ocenić to, co się ponad mierność wybiło. Z resztą, prócz wprawnego oka i wytrawnego sądu, potrzeba jeszcze cierpliwości niemieckiéj, a odwagi polskiéj, ażeby 1500 obrazów pilnie obejrzeć, przerzucać oko na tysiąc różnych scen, barw, kolorów, chwytać wyobraźnią tysiąc pomysłów szczytnych i płaskich, śmiesznych i tragicznych, mądrych i niemądrych, a takie każdemu z nich wybitne i odrębne miejsce w pamięci swojéj wyznaczyć, ażeby z tąd nie powstała mieszanina, podobna do owéj potrawy Arystofanesa, składającéj się z dwódziestu kilku przyprawek, a o ile pamiętam, z siedmiu, dziesięciu i pięciu syllab. Wyliczyć wszystkie po kolei, trudnoby było, a cóż rozdzielić, uporządkować i podług wartości ocenić. Tu mi się przypomina gadka owa gminna, przez każdego z nas słyszana zapewne w dzieciństwie, w całéj znana Europie: gadka o Kopciuszku, powstała niezawodnie z następującego podania starożytnéj mytologii. Kiedy nieubłagana Wenera, na pierwszą próbę wystawić chciała Psychę, kazała jéj pomieszane ziarna pszenicy, prosa, maku, grochu i t. d., tak wybrać, ażeby każde z nich według gatunku oddzielonem było. Praca, przechodząca siły Herkulesa. Biedna Psyche nie śmiała jéj nawet rozpocząć.. Aleź z przypadku, czy z przeznaczenia losów, znajdowała się pomiędzy ową mieszaniną ziarna, mrówka, któréj drobniuchne serce ulitowało się wielkiéj rozpaczy Psychy. Pobiegła zatém, sprowadziła rodzone siostry swoje, zawołane gospodarki, i na ich czele rozpoczęła walkę. Odwaga i wytrwałość zawsze zwycięża; a więc i tutaj. Po krótkiéj, lecz żwawéj utarczce, oczyszczono pole z nieprzyjaciela, wyzbierano pomieszane ziarnka, praca została dokonana.

Wystawa tutejsza jest taką mieszaniną ziarn rozmaitych wespół z plewami. Bóstwo piękności i harmonii wystawia nas na próbę rozgatunkowania wszystkich z kolei. Sił nie masz do téj pracy; a czy są mrówki dobroczynne, któreby w pomoc przyszły zwątpieniu? Czy mrówki są, nie wiem; ale na krytykach w Niemczech nie zbywa; na każdą książkę, lub obraz, znajdziesz ich stu; na każdego autora, lub malarza, tysiąc. Zaledwie się gdzie zjawi ziarnko myślą dojrzałe, lub kwiat rozwinięty uczuciem, tłumami rzucają się na niego i na wsze rozdzierają strony. Przyjdzie czas, gdzie sami między sobą pożerać się będą, i ani postrzegą, jak obok nich dojrzeje owoc, któremu plemie mrówcze nie podoła. Dziś jednak pole walki i zasługa pracy, im się przynależy. Pracują, ale nie dla siebie; inna ręka oddziela ziarno prawdy od plewy fałszu, inna je zasiewa, lub na pożywienie przerabia. Co wreście ręka na pożywienie przerobiła, to usta dopiero spożywają, żołądek na soki żywotne przetrawia, ażeby niemi organizm do nowéj pracy jutrzejszéj doby pokrzepić. Porównanie prozaiczne, ale dotykalnie zrozumiałe dla nas rólniczych Polaków, którzy w téj pracy umysłowéj odbywamy funkcye ust i żołądka, przeżuwających i przetrawiających płody intelligencyi niemieckiéj, ażeby niemi całe ciało organiczne słowiańszczyzny krzepić na jutrzejszą dobę czynu, która ma ludzkości zaświtać.

Słowiańszczyzna jest tą Psychą mytologiczną, romantycznym Kopciuszkiem, potyranym i sponiewieranym przez siostry, a przez matkę Opatrzność wystawianym na tysiączne próby, do których przetrwania pomagają mu tysiączne okoliczności i różne istoty, a między innemi i mrówki.

Przekonałem się o tém znów na tutejszéj wystawie. Massa pomieszanych, najrozmaitszych płodów malarstwa, tak mnie przeraziła, żebym się może nie był odważył rozpocząć pracy porządkowania; aliści mrówcze plemie berlińskich krytyków, pracy téj już dokonało. Oni wszystkie obrazy rozklassyfikowali i oznaczyli według rodzajów i wartości, a ja według natury słowiańskiej sięgnąłem po owoc gotowy, ażeby nim paść zmysły, unosić ducha i serce zapalać.

Najwyższy sąd sprzysięgłych, publiczność i opinja, zawyrokowały bardzo sprawiedliwie, że pierwsze pomiędzy wszystkiemi miejsce przynależy się obrazowi Lessinga, wystawiającemu Hussa w Kostnicy. Obraz niesłychanéj piękności, choć niezupełnie wolny od błędów i usterków szkoły. Lecz czémże są błędy i ułomności ludzkie przed tą potęgą ducha Bożego, który się w tym obrazie objawił! Huss przed concilium stawiony, zajmuje środek nie wielkiéj celi, podtrzymując lewą ręką biblię, opartą na stole założonym foliantami Pisma ś. i ojców kościoła. Po prawéj stronie siedzą porządkiem hierarchicznym kardynali i biskupi; za nimi siedzą zakonnicy rozmaitych reguł i świeccy; po lewéj pierwsze zajmuje miejsce Nuncyusz papiezki, daléj zasiadają biskupi i duchowni, otoczeni zakonnymi braciszkami. Kompozycya na pozór jednostajna i zbyt sceniczna; ale jakaż w téj jednostajności rozmaitość, jakaż w téj rozmaitości harmonia i jedność. Myśl cała obrazu koncentruje się w środkowym jego punkcie, w Hussie; w tym Hussie tak dziwnie pięknym, tak pięknie majestatycznym. Jakaś gloria niebieska otacza całą jego postać, a przedewszystkim to oblicze nadludzką pałające bladością, to czoło tak jasne i pogodne, a przecież powleczone ową tajemniczą mgłą ducha, która na to tylko lekką tkanką myśli słońce prawdy przesłania, ażeby oko śmiertelne patrzeć w nie mogło bezpiecznie. A oko Hussa, takie tylko oko mogło pod takiém czołem zajaśnieć, pałające wewnętrznym ogniem przekonania, spokojne tą pewnością, którą prawość przekonania i czystość sumienia nadaje. Nie jest to już ów zagorzały fanatyk, któregośmy przed kilku laty w kazaniu Hussytów widzieli, ale jest to sam mistrz, sam stwórca, który z wysokości ducha, na dzieło stworzenia spogląda; a miłością ducha w stworzeniu się rozpływa. Ręka prawa, na piersiach złożona, zdaje się wskazywać, gdzie jest źródło prawdy, gdzie majestat Boga; usta na wpół otwarte, zdają się mówić: nie dla mojéj obrony, lecz dla zbawienia waszego przyszedłem! A słowa te, dziwny i różny wpływ wywierają na przytomnych. Ten biskup n. p. młody jeszcze, opierający zadumaną głowę na dłoni, włosem złotym i melancholią oblicza zdradzający pochodzenie germańskie, okiem niebieskiém wyglądający z obra-

zu, jak gdyby w przyszłość daleką; zdaje się zbierać myślą ostateczne owoce, które w organicznym rozwoju zrodzą się w Niemczech z ziarna zawartego w tych słowach kacerza. Umysł jego silny jeszcze, bo młody, nie stracił dotąd wiary w potężną, nie przepartą, absolutną siłę ducha. Przeciwnie ów Nuncyusz papiezki, ów kolos brzuchaty, owa opoka, na któréj zbudowaćby można kościół, a przynajmniéj kaplicę; nie słucha nawet słów Hussa, na wpół odwrócony rozmawia z jakimś mnichem kapturowym, nie troszcząc się bynajmniéj o obronę kacerza, bo wie, że tu najlepsza obrona na nic się nie przyda; wie, że choćby Bóg sam przez usta jego przemawiał, Bóg sam wysłuchanym i usprawiedliwionym być by nie mógł, w ręku bowiem jego spoczywa już piorun potępienia, anatema papiezkie! Jest to Francuz praktyczny, chwytający w chwili obecnéj te środki dotykalne, które wprost do jakiegoś celu prowadzą. Tu potęga papieża była dla niego rzeczywistością, potęga ducha w zbyt dalekiéj leżała przyszłości. Niemiec tylko idealny i dumający mógł się jéj dopatrzyć. Z po za Nuncyusza i obok prawie siedzącego starca kapłana, wygląda z pod infuły biskupiéj oblicze, taką prawdą życia nacechowane, że nietylko złudzić może udaną rzeczywistością, ale przerazi patrzącego. Przynajmniéj na mnie zawsze niemiłe robi wrażenie to zbyteczne prawdopodobieństwo życia w obrazie, czuję jakowyś wstręt do fałszu tak bliskiego prawdy. Najwyższy utwór sztuki, jako najwyższy ideał, jest najzupełniejszą rzeczywistością idei, ale nigdy być nie może rzeczywistością istotnego życia. Jeśli zaś do niéj dąży, staje się fałszem.

Zboczywszy na chwilę, wracam do obrazu, a wracam powtórnie do samego Hussa, bo forma listu nie pozwala rozwodzić się szczegółowo nad charakterem każdego z trzydziestu aktorów, odgrywających role w téj najokropniejszéj tragedyi duchowego męczeństwa; Huss zaś sam, jako główna osoba i najpiękniejsza część obrazu, przedewszystkiem nas zajmuje. Cokolwiek jednak o nim powiedzieć byśmy mogli, nigdy dźwiękiem słów nie zdołamy otworzyć dla ucha téj postaci, która boskością swoją oko nasze zachwyca. Tyle więc tylko dodamy, że główną jéj cechą i znamieniem, jest owa święta prostota, o któréj Huss po raz ostatni mówił w swém życiu, kiedy stawiony na stosie, ozwał się do wieśniaczki, podkładającéj podeń swą wiązkę: *o sancta simplicitas!*

Wspomniawszy wyżéj o usterkach szkoły, tu wzmiankę tę usprawiedliwić muszę uwagą, że jak wszystkie obrazy dysseldorfskie, tak i ten nie ma dosyć głębokości kolorytu, co sprawia, że tło obrazu, stanowiące ścianę, nie pozwala im wystąpić w plastycznem zaokrągleniu, i to tylko w górnéj części obrazu; dołem zaś głębokość jest dostateczna i pięknie zacieniona, co tém bardziéj razi.

Pominąć tu nie mogę uwagi, która mi się mimowolnie nasunęła, kiedy od obrazu Hussa przeszedłem do dwóch Chrystusów; jednego na puszczy przez Hensla, drugiego na górze Oliwnéj przez Begasa. Przez dwóch niepospolitych mistrzów niemieckiego malarstwa, dwóch Professorów i członków akademij, stworzeni dwaj najnieszczęśliwsi Chrystusi, jakich w naszym czasie napotkać można: choć wszyscy bardzo są nieszczęśliwi, rozumie się w obrazach. Któż z nas, pytam, widział w nowszych czasach malowany obraz Chrystusa w Niemczech, przed którymby z uniesieniem zawołał: „Oto *Bóg-człowiek*! Każden z nich przestał być człowiekiem, żaden się niepodniósł do wielkości Boga, na żadnego Duch Boży nie spłynął. Dla czego? Bo Niemcy nie są właśce nieba, odpowiecie może; a malarze niemieccy, nie Katolicy, nie natchnieni prawdziwym Duchem Bożym, tchnąć go nie mogą na płótno. Bynajmniéj; proszę no spojrzeć na Hussa, oto prawdziwy Bóg-człowiek, najpiękniejszy Chrystus, jaki kiedykolwiek ozdobił, lub ozdobićby mógł nasze kościoły i ołtarze. Jest więc dziś jeszcze w mistrzach niemieckich ideał boskości; lecz z kądże pochodzi, że go w nich obudza wyobrażenie przywiązane do Hussa kacerza, a obudzić nie może wyobrażenie do naszego Zbawiciela przywiązane? Którzy znają najżywotniejsze kwestye naszego czasu, łatwą na to znajdą odpowiedź; nieświadomym dać jéj tu nie mogę!

(Dokończenie nastąpi.)



TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.